

TRĄBKA

Kiedy znudzi mnie do reszty siedzenie w moim punkcie obserwacyjnym, ale nie mogę go opuścić, ponieważ czekam na jakiś ważny telefon czy faks, kiedy nie mam również ochoty na zerkanie przez okno (to prawdziwe i to będące szybą monitora komputerowego), wstaję i podchodzę do wielkiej czarnej szafy, stojącej w tym samym pokoju, wspinam się na palce i ściągam z góry wiecznie zakurzony futerał, w którego wnętrzu spoczywa srebrzysta trąbka. Z nabożną czcią otwieram czarne (jak szafa) trumienne pudło i – zanim dotknę tego, co jest w środku – patrzę na spoczywające w wyłożonym aksamitem wnętrzu metalowe urządzenie, które stanowi coś pośredniego między płataniną instalacyjnych rurek a stożkową tubą, z jakiej korzystali reżyserzy filmowi w początkach kina. Wewnątrz futerału ma swoje miejsce także plastikowa buteleczka pełna specjalnej oliwki przeznaczonej do smarowania trzech tłoczkowych wentyli instrumentu, flanelowa szmatka obrębiona niegdyś przez mamę za pomocą wieloczynnościowej maszyny do szycia oraz zszarzały wycior, którym nie raz przepychałem zaplute rurki instrumentu. Jest tam również (umieszczony w specjalnym otworze) ustnik – mała mosiężna, posrebrzana tulejka, dzięki której, przy odrobinie umiejętności, można wydobywać dźwięki.

Kiedy napatrzę się na te wszystkie cudeńka, najczęściej zamykam klapę futerału i odstawiam go z powrotem na szafę, ale – a zdarza się to bardzo rzadko – czasami wyjmuję trąbkę, ogrzewam w dłoni chłodny metal ustnika i, kiedy osiągnie on temperaturę mojego ciała, przykładam go do warg, mając takie uczucie, jakbym spełniał pocałunek z drogą, ale dawną nie widzianą kochanką. Efektem tego zbliżenia nie jest jednak ten rodzaj rozkoszy, który wyzwala w nas zazwyczaj potrzebę miłosnego spełnienia, ale wydanie dźwięku. Ton uzyskany po okresie długiego niećwiczenia jest brzydki; chropowaty, pełen świstów i szumów. Ale jest! Jego poślednia jakość potrafi czasami zmusić mnie do tego, by przez tydzień albo dwa, dzień w dzień, ćwiczyć pokrętne pasaże i wprawki, aby w efekcie, w końcu

tego okresu, usłyszeć kilka czystych (odpowiednich) dźwięków podobnych do tych, które niegdyś każdego dnia zupełnie niefrasobliwie „wypuszczałem” w przestrzeń – ćwicząc w domu, grając na próbach i od czasu do czasu koncertując.

Skończył się wiek dwudziesty. Wiek jazzu. Zaczął go swoimi narodzinami Louis Armstrong, zakończył (trochę przedwcześnie) swoją śmiercią Miles Davis. Wewnątrz byłem ja i moja trąbka.

Był czas, że codziennie, we wczesnych popołudniowych godzinach, przechodnie, których zagnało na tę starą ulicę ponemieckiego miasta, mogli usłyszeć ćwiczącego jazzowe frazy trębacza. Po przeciwnej stronie kuli ziemskiej niż znajduje się czarny Harlem, za bardzo żelazną kurtyną ktoś uwierzył w wolność zaklętą w dźwiękach trąbki. Ta wolność nie dotyczyła kraju, polityki, pokrętnego systemu i zawirowań dziejowych narodu, dotyczyła przede wszystkim jednego, jedyne go człowieka, a tym człowiekiem byłem właśnie ja, Krzysztof Rudowski.

Wolność zapisana w wojskowym reżimie codziennych ćwiczeń. Wolność zawarta w decyzji o granicy, podjętej przez kogoś, kto kilkanaście pierwszych lat życia nie potrafił powiedzieć, co oznacza dur, a co moll, a takie słowa jak fraza, harmonia, artykulacja – były mu równie obce, a może nawet bardziej obce niż zasada nieoznaczoności Wernera Carla Heisenberga.

Ale impuls – który sprawił, że pewnego jesiennego dnia (jak każdy dzień na tej ulicy) wysuplałem wszystkie swoje oszczędności, pożyczyłem brakującą część pieniędzy od ukochanej siostry, wsiadłem w tramwaj o numerze osiem i pojechałem na reprezentacyjny Plac Kościuszki, gdzie sklep swój miała niegdyś Centrala Muzyczna, i kupiłem za trzy i pół tysiąca złotych trąbkę w stroju B rodzimej produkcji – był impulsem na miarę decyzji o przedsięwzięciu morskiej wyprawy w poszukiwaniu nowego ładu, jaką pięć wieków temu podjął mój imiennik.

C; e; g; c. Cis; eis; gis; cis... i tak dalej.

C; e; g; c. Cis; eis; gis; cis... i tak dalej.

Można siedzieć w zadymionej knajpie i pić wódkę.

Można leżeć i patrzeć w sufit.

Można narzekać, że czasy są złe, że człowiek jest uciśniony, że nic nie wolno.

Można kleić na murach ulotki.

Można mówić, mówić – bez końca.

Można również wziąć do ręki trąbkę (np. rodzimej produkcji) i poćwiczyć gamy, pasaże, zagrać kilka etiud w trudnych tonacjach obłożonych stertą krzyżyków lub bemoli, a następnie położyć na pulpicie kartkę z utworem zatytułowanym *Oleo* (ponoć Rollins nazwę tę nadał temu standardowi na cześć marki popularnej w latach pięćdziesiątych margaryny) i najpierw powoli, a potem coraz szybciej, z odpowiednią artykulacją, zagrać tę sympatyczną jazzową melodyjkę.

Można.

Czy lepsze to od wymienionych wyżej czynności? Dla mnie lepsze. Dla innych – nie.

Pewna moja znajoma – osoba o długich, ciemnych, gładko uczesanych włosach, energiczna, niespokojna, poszukująca wiecznie własnej drogi – zapytała mnie kiedyś:

– I co ty masz z tego grania?

Zapytała z przekąsem, z jakąś pretensją w głosie, z wyższością może, a ja nie potrafiłem jej odpowiedzieć. Pytanie jednak zostało. Dzisiaj, po latach, wraca, ale ciągle jest bez odpowiedzi. W tym zdaniu zamiast słowa „granie” można oczywiście podstawić wiele innych słów. Pasuje do niego tysiące czasowników.

Pod prąd. Przeciw milionom zakochałem się niegdyś w pięknym dźwięku trąbki Milesa Davisa, w śmiertelnej miłości do świata, której determinację można znaleźć w dźwiękach wydartych saksofonowi Johna Coltrane’a.

Nie zapomnę nigdy przygarbionej postaci Janusza Muniaka pakującego po całonocnym (męczącym grą i alkoholem) jam session swój oksydowany ciemno instrument i jego wtedy mruczenia pod nosem: „muszę przećwiczyć te przebiegi harmoniczne...”.

C; es; f; g; b. Cis; e; fis; gis; h... i tak dalej.

C; es; f; g; b. Cis; e; fis; gis; h... i tak dalej.

Zagrałem oczywiście *Oleo*. Na estradzie niewielkiego klubu popłynęły w przestrzeń dźwięki. Po koncercie przyszedł do mnie słuchacz i powiedział:

– No, perkusista był dzisiaj najlepszy, ale ty – drugi. Pięknie.

Nie potrzebuję lepszego komplementu. Naprawdę.

Ale, ale. Do pracy chodziłem z wielkim żeglarskim workiem. Nikt nie wiedział, że w jego wnętrzu krył się futerał z trąbką.

7:00 – w pracy („Miastoprojekt”)

15:00 – po pracy (bar mleczny „Miś”)

16:00 – na próbę (piwnica „Pod Edulem”)

20:00 – do dziewczyny (tramwaj nr 9)

23:00 – do domu (do mamy)

24:00 – przychodzi Muza i pomaga pisać wiersze:

NIEKONIECZNIE

Niekoniecznie trzeba napisać wiersz

Można go tylko pomyśleć

I zapomnieć

Och

Chyba właśnie przez tę słabą pamięć

Poetami się stajemy

Bo zapisujemy

Taki był mój rozkład dnia. Na przypatrywanie się miastu, które teraz oglądam z mojego punktu obserwacyjnego, nie było czasu. Topografia ciała mojej dziewczyny była ważniejsza od jakichś tam ulic, placów i mostów.

Kluby jazzowe mieszczą się często w ruderach. Głośna muzyka i niskie czynsze. I tu, w tym mieście, które tak pieczołowicie odnawia swoją poniemiecką starówkę, a tak fatalnie zaniedbuje wszystko, co znajduje się w odległości większej niż tysiąc metrów od ratusza, był klub jazzowy o nazwie „hydraulicznej”, do którego wchodziło się z podwórka o odrapanych ścianach, zasikanych narożnikach, pokrytego nieczystościami wysypującymi się z przepełnionego śmietnika. Nie, to nie był „styl jazzowy”, tak wyglądały wszystkie podwórka naszego pięknego kraju. Moje do dzisiaj tak wygląda. Takie miejsca nastrajają do samobójstw, usprawiedliwiają wypijanie przez całe marne życie hektolitrów piwa, prowokują

do wstrzyknięcia w żyłę cudownej farby, która na naszych oczach pokrywa liszajowate tynki i uzupełnia wgłębienia w murach wyżłobione odłamkami bomb, które spadły podczas ostatniej wojny.

Na takim podwórku zdarzył się kiedyś cud. Pewnej nocy (bezwieżdnej, jak każda w moim mieście) stałem tam, czując wyraźnie zapach ze śmietnika i woń uryny oddanej przed paroma minutami przez jakiegoś pijaka. Zgnilizna, ciemność i smród dymu z tanich papierosów, który ulatniał się przez niedomknięte okno jazzowego klubu. Nie pamiętam, czy była to jedna z tych licznych w moim życiu chwil, kiedy odczuwałem jego bezsens, czy nastrój mój był obojętny, bo dałem się właśnie pociągnąć zdarzeniom ode mnie niezależnym. Z pewnością nie był to okres prosperity, bo każdy z nich pamiętam doskonale – tak były rzadkie i krótkotrwałe. Faktem jest, że nagle buchnęła muzyka (co w zasadzie jest oczywiste na tyłach klubu jazzowego). Runęła na mnie, spadła jak grom z jasnego nieba i stało się coś, co wspominać będę zawsze, czym chciałbym się z każdym podzielić, choć zabrzmiał to cokolwiek dziwnie: zwyciężona została śmierć. Tu, na brudnym, śmierdzącym podwórku, nastrojającym raczej do samobójstwa niż życia, zwyciężona została śmierć. Muzyka zapaliła we mnie jakąś dziwną, nową świadomość, która wyparła stojące zawsze przy mnie widmo śmierci. Muzyka jako przeciwstawienie się nieuchronności. Muzyka jako narzędzie walki ze strasznymi prawami świata.

Nie umiem tego wytłumaczyć. Umieję to poczuć, słuchając muzyki. Nie zawsze. To zależy przecież od nastroju. Na przykład, kiedy w *Tańcach Połowieckich* Borodina pojawia się ten delikatny śpiewny motyw; kiedy uderza pierwsza nuta zagrana przez Coltrana'owski saksofon w jego *Love Supreme*; kiedy dobrze nastrojony chór zaśpiewa *Dixit z Dixit Dominus* Alessandro Scarlattiego; kiedy zabrzmiały trzy oszalałymi tutti oznaczają początek *Gon Gon Gon* orkiestry Gila Evansa; i trzęsienie ziemi: płyta *Mercy, Mercy, Mercy* – koncertowe nagranie kwintetu Juliana Cannonbola Adderleya, do którego przyplątał się ten zwariowany Austriak, Zawinul, by dać jazzowi swoje piękne, czarne (mimo białej skóry) kompozycje. A ostatnia część *Eroiki*, a napisane do starej szuflady Bacha *Kunst der Fuge*, a *All Blues* zagrany przez kwintet Davisa 23 grudnia 1965 roku w klubie *Plugged Nickel* na koniec morderczej dwudniowej sesji...

C; d; es; f; ges; as; a; h; c... i tak dalej.

C; des; es; e; ges; g; a; b; c... i tak dalej.

A potem były chwile, kiedy to ja, Ja, JA, podchodziłem do mikrofonu ze swoją srebrną trąbką i grałem, grałem, grałem, odpływając w tak przedziwne stany zaistnienia, że świat, życie, śmierć, dobro, zło – schodziły naprawdę na daleki plan, stając się nic nie znaczącym dodatkiem do mojego istnienia zawieszonym na kilku dźwięcznych nutach melodii. Dla takich chwil warto odłożyć trochę czasu z szarej codzienności i zamienić go na katorżniczą pracę z opornym instrumentem. Zapewniam, warto.

Trzymam w ręku czarne pudło futerału. Otwarte. Wewnątrz – trąbka.

Telefon.

– Kto?

– Jak to, kto? Ja, Władak, Władek Jagiełło.

Pamiętam, pamiętam, jak graliśmy tę jego dziwną muzykę „pod prąd”, gdzie swoje skomplikowane rytmy podkładał pod proste melodyjki tematów. Zawsze pociągała mnie czarna awangarda w jazzie, zawsze czułem dreszcz na ciele, kiedy słuchałem Ornette Colemana czy ostatnich nagrań Coltrana. Dawid Murray, Antony Braxton – dynamika, wolność i niespożyta inwencja. I wszystko to, co robiliśmy w „Poszukiwaczach zaginionej arki” (to nazwa mojego pierwszego zespołu). Kiedy prawie wszyscy z niego uciekli (bo było za awangardowo), została nas tylko trójka. Przyszło długie lato, a my spotykaliśmy się dwa, trzy razy w tygodniu w głębokich piwnicach słynnego studenckiego klubu „Pałacyk” i bez słowa zaczynaliśmy próby. Muzyka wychodziła z nas, układała się w rytmy, melodie, harmonie. Pianista spisywał później to, co „wygraliśmy”, i kiedy przyszła jesień, a ci, którzy wcześniej odeszli, zwabieni naszą wytrwałością zaczęli powracać, mieliśmy już cały repertuar.

A potem były następne zespoły, festiwale, jakieś nagrody, współpraca z Jagiełłą, a w końcu wyjechałem do Moguncji dalekiej a pięknej, gdzie inne sprawy ważniejsze były i muzyka (granie) poszła w odstawkę, choć tęsknota pozostała. Pozostała, bo jakimś dziwnym trafem zacząłem tam po kilku latach „niegrania” ćwiczyć i trafiłem w końcu do niemieckiego jazzowego big-bandu, gdzie ja mogłem podziwiać perfekcję niemieckich muzyków, a oni – moją inwencję w improwizacjach.

Położyłem srebrną płataninę rurek – trąbkę – na biurku przed komputerem. Wyglądam przez okno mojego punktu obserwacyjnego. Nie ma piwoszy, nie ma narkomanów. Ulicą idą kobiety z dużymi pakunkami. Wypchana torba, na samym wierzchu kratkowana kartka wyrwana ze szkolnego zeszytu dziecka, na której w punktach wyszczególniono zawartość bagażu. Kobiety mają zniszczone twarze, zniszczone ręce, czasem powybijane zęby. Niosą daninę dla swoich ciemżycieli – mężów, którzy znaleźli się w pobliskim areszcie. Znaleźli

się tam (doskonale określenie!), bo zapragnęli zabawki zza szyby kiosku. Nie znając prostszego sposobu na jej zdobycie, wybili szybę i wzięli upragnioną paczkę papierosów. Jak miło zaciągnąć się dymem, wypełniając nim wiecznie przemarznięte płuca.

Na biurku leży trąbka. Wystarczy ją podnieść, ogrzać dłonią ustnik i zagrać. Wyrzucić z siebie za pomocą przeraźliwie smutnych dźwięków nostalgię, wyrzucić tę zabłoconą ulicę, te zniszczone kobiety, z którymi chodziłem niegdyś do pobliskiej szkoły o numerze 60, i tęsknotę wyrzucić, tęsknotę za czystym powietrzem, ogrodem, ciszą.

Chowam trąbkę do futerału, zamykam go i odkładam na wysoką, czarną jak on szafę. Moje miejsce jest przy biurku, w punkcie obserwacyjnym, z którego widać powracające z odwiedzin w areszcie kobiety. Nie mają już swoich toreb, nie mają swoich mężczyzn, mają wieczną udrękę. W odróżnieniu ode mnie, brak im nadziei, bo moja nadzieja spoczywa na wysokiej szafie i czeka tam na mnie cierpliwie, a nawet jeśli się nie doczeka, to przecież w zupełności wystarczy – że jest.